



W SŁOŃCU

NR. 28.

DODATEK DO TYGODNIKA „Z BLIZKA I Z DALEKA”.

WARSZAWA 11 LIPCA 1914 R.

Zofja Wójcicka-Chylewska:

Moi wychowañcy.

(DOKOŃCZENIE).

J A S K Ó Ł K A.

Ale wkrótce konie, mimo zachęty jego i własnej dobrej woli, zwalniają biegu, bo droga coraz bardziej stromo pod górę się wspina. Coraz trudniej im jechać i ciągnąć wóz tak ciężki. Matwiej zeskakuje z niego i idzie obok fury,—a że góra wysoka i stroma—my wkrótce czynimy to samo.

Dwie są drogi z Krakowa do Szczawnicy. Jedna dłuższa, ale za to bardzo piękna i malownicza, na Czorsztyn. Wspaniałe to widok z ruin zamku Czorszyńskiego, stojącego na wysokiej gó-

rze—u stóp jej cudny zielony Dunajec— a na drugim jego brzegu już Węgry— i drugie takie same zameczysko na górze — Nidzica. Takie dwie strażnice, dawniej granic groźnie strzegące.

A druga droga jest krótsza, ale przykra bardzo. Prowadzi bowiem przez olbrzymią górę, zwaną „Kamienicę”. Przez tę to Kamienicę szliśmy zwykle piechotą—a trzeba było aż półtorej godziny, żeby się na jej wierzch wdrapać. Kiedy konie szły pomału, ciągnąc ciężką furę, Matwiej szedł obok fury, nawołując je ciągle i zachęcając—a my biegliśmy pod górę, jak młode kozy,

rwąc po drodze kwiaty i ścigając się: kto pędzej!

Ale potym za to, kiedyśmy już na furę wsiedli i z góry zjeżdżali, cóż to za szalona jazda była! Zamykałam oczy, żeby nie widzieć, jak stromo, wprost na dół, „z pieca na łeb“ pędzimy. A Matwiej musiał z całej siły zakręcać hamulec. Jakże się wtedy nieraz bałam, żeby nie pękł i żebyśmy się gdzie w przepaść nie stoczyli! Ale myślałam potym: „To i cóż! Jeżeli zginiemy—to wszyscy razem! I nie będzie jedno płakało po drugim!“—I ta myśl zawsze uspakajała mnie.

Ale dzielne koniki i tu okazywały mądrość swoją i umiały ciężar fury powstrzymać — tak, że pod wieczór drugiego dnia podróży, pomęczeni i senni, ale zdrowi i cali, dojeżdżaliśmy nareszcie do celu.

Ach! Te jazdy! te niezapomniane podróże! I teraz jeszcze, tak jak za moich lat dziecinnych, jadąc do Szczawnicy, kolejną dojeżdża się tylko do Chabówki—a potym jeszcze od stacji kolejowej sześć mil końmi jechać trzeba. Ale wątpię, czy ktokolwiek teraz tak, jak my dawniej, wprost do Szczawnicy z Krakowa furą jeździ! A ja tak lubię przypominać sobie te czarodziejskie, rozkoszne podróże!

A ta nasza Szczawnica kochana, w której każdy kamień znaliśmy! Te parę tygodni niezmąconej, cudownej swobody wśród cudownych gór Karpackich! Te prześliczne Pieniny! ten wąwóz wśród skał, najpiękniejszy w świecie, wśród którego wiję się tylko wązka dróżka, wykuta w skale. A u stóp

pieni się ciągle, wścieka, zakręca i o skały rozbija szmaragdowo-zielony Dunajec—a zawsze stale jej towarzyszy—aż tam, na węgierską stronę. Razem z nią Karpaty całe przerzyna. Co Dunajec na prawo skręci — to i droga za nim—co droga na lewo odbiegnie—już i Dunajec pędzi zaraz w tę stronę. Nieraz się zdaje, że tu już koniec. Ogromna jakaś skała stanęła napoprzek i nie puści dalej. I droga i Dunajec urwane nagle, jakby je kto uciął. Tu już chyba koniec świata być musi. Ale kiedy do końca tego dojdiesz—patrzysz—a tu sprytny Dunajec na bok skręcił, skałę opłynął—a droga znów pobiegła za nim w siostrzanej zgodzie. A nad nimi góry coraz to inne strzelają w niebo. To cudnie, jasną zielonością połonin w słońcu się śmieją—to czernią się w cieniu za zakrętem czarną prawie zielenią świerkowych lasów — to znów sterczą z obu stron szare i nagie, jak olbrzymie granitowe słupy przydrożne.

Ach! precudne są te Pieniny nasze—śliczna Szczawnica—ale wszak nie o nich, tylko o jaskółce opowiadać ci miałam. Tam więc—w Szczawnicy przeżyłam tę krótką i smutną historję.

A było to tak. Znaleźliśmy ją w ogrodzie, pewnego ranka, ze złamanym skrzydełkiem, leżącą na trawie. Podniósłszy ją troskliwie, zanieśliśmy do mieszkania. Każde z nas chciało jej w czymś dopomóc, usłużyć. Jedno zrobiło z tekturowego pudełka jakby klatkę, inne zrobiło jej z waty łóżeczko — trzecie dziurki w pudełku powykłuwało, ażeby biedny ptaszek więcej miał powietrza, a czwarte muszki dla niej

łapała. Mamusia wprawdzie mówiła nam, że to płaszek, co w niewoli żyć nie będzie, że nie nie jada, prócz owadów, które sobie sam w locie dzióbkiem chwytła — i dlatego w klatce żyć nie może, że nikomu jeszcze dotąd żadnej jaskółki oswoić się nie udało, bo to płak dziki, kochający nadewszystko swobodę. Radziła nam też wypuścić jaskółkę. Ale jakże tu puścić biedną płaszynę, co latać nie może? Pomyśleliśmy, że przynajmniej dotąd trzymać ją będziemy, dopóki nie wyzdrowieje — a kiedy się jej skrzydełko zagoi, puścimy ją — niechże sobie leci! Ale przyznaję, że miałam w sercu ukrytą nadzieję, że przez ten czas płak przywiąże się do nas i już odlecieć nie zechce. Pamiętałam przecie zawsze ukochanego mego wróbelka — wychowańca, którego łagodnością i cierpliwością tak mi się oswoić udało, że aż się wszyscy dziwili. Postawiliśmy więc tymczasową klatkę z pudełka na otwartym oknie, żeby płaszyna miała więcej powietrza, położyliśmy ją na pościółce z waty i przez cały dzień łapaliśmy dla niej muszki i do pudełka wpuszczali. Nawet wodę zmieniałam jaskółce kilka razy, żeby zawsze miała świeżą — ale biedny płaszek nie chciał pić, ani sam, ani sposobem nieodżałowanego wróbelka.

Wieczorem powiedzieliśmy sobie nareszcie, że najlepiej biedactwo zostawić w spokoju. Może samo wstanie wreszcie, napije się wody i pozjada muszki, leżące w klatce.

— Chodźmy spać — mówiliśmy do siebie. — Może go właśnie obecność nasza niepokoi? Może zanadto się nas lę-

ka? (bo któż wie, co się to dzieje w serduszkach takiej płaszyny?) Może nas uważa za potworów jakichś, którzy na życie jej czyhają i ilekroć się które z nas zbliża, umiera ze strachu? W nocy będzie miała spokój zupełny — a rano, kiedy się zbudzi, głód uczuje, nie widząc przy sobie nikogo strasznego, do śniadania się zabierze.

Jakież było nasze zmartwienie, jakiego nieopisany smutek, kiedyśmy rano do płaszka naszego zajrzeli! Nie żył już. Leżał tak samo, jakiegoś go położyli, na pościółce z waty — tylko oczęta miała błonką zasnutę, a nóżki sztywnie wyciągnięte. I nigdyśmy się nie dowiedzieli, czy to starania nasze go zabiły i zbytnia nasza troskliwość, czy też wtedy, kiedyśmy go znaleźli, był już tak chory, że umrzeć musiał. Tysiące było domysłów i przypuszczeń. A może to kot go złapał i dusił, a polym wypuścił, ledwie żywego? A może spadł z gniazda, gdzieś zwysoka i poślukł się śmiertelnie?... a może też pękło mu serduszek ze strachu przed nami — i z rozpaczy, że mu już nazawsze w klatce żyć przyjdzie!

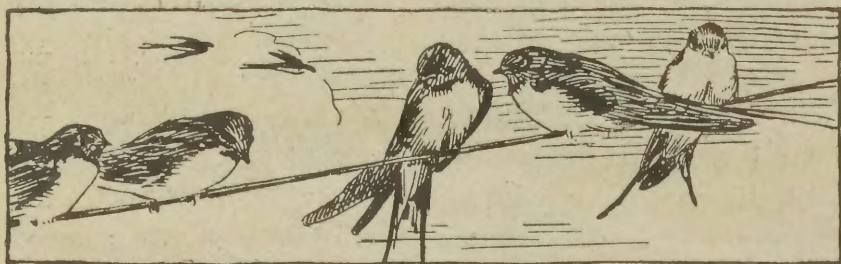
Tak — czy tak — nie było już rady. Nie mogąc niczym utulić okropnego żalu, postanowiliśmy przynajmniej urządzić jaskółce niebawomy pogrzeb. Z gałązek wierzbowych upletliśmy nosze, wysłaliśmy je najmniejszymi listkami i na tym dopiero posłaniu położyliśmy biednego płaszka, obsypawszy go z wierzchu polnemi, drobnymi kwiatkami. Sprosiliśmy na tę uroczystość smutną wszystkie dzieci z całego domu i z wielką powagą i smutkiem, idąc „gę-

siego“ jedno za drugim, szliśmy tak wszyscy przez ogród w uroczystym pochodzie. Na przodzie szedł Hipek, śpiewając basowym głosem:

— Ooo... iii... miii..., co miało naśladować śpiew księdza na pogrzebie. (Hipek lubił „bawić się w księdza“ — ale jakiegokolwiek odprawiał nabożeństwo, zawsze śpiewał tylko: „o-i-mi...“ przewlekłym, ponurym głosem. Wydawało mu się to widać dźwiękiem najpodobniejszym do łacińskich pieni...) Potym szły nasze i inne dzieci, po jednemu, gęsiego, dla większej uroczystości — a na końcu ja z Mietkiem nieśliśmy nosze żałobne z jaskółką. Nigdy nie zapomnę mego oburzenia i rozpaczy, kiedy nam jakiś, przechodzący przez

ogród, większy chłopak, nosze do góry ręką ze zbytków podbił — tak, że i jaskółka i całe jej śmiertelne posłanie wysypało się na ziemię. Wydawało mi się to taką zbrodnią, takim złym, niegodziwym, o pomstę do nieba wołającym czynem, że, choć zaraz pozbieraliśmy wszystko i ułożyli tak, jak było, długo z żalu uspokoić się nie mogłam. I choć to już tyle lat upłynęło, i teraz myślę o tym tak samo.

Pochowaliśmy jaskółkę naszą na najwyższym miejscu w ogrodzie, a grób naznaczyliśmy kamieniem. I kto wie, czybym miejsca tego nie poznała?... Jeśli do Szczawnicy pojedziemy kiedy, to go razem poszukamy—dobrze?



Ile jaskółka łapie owadów przez dzień.

Pewien leśnik w Czechach obserwował jaskółkę, karmiącą pisklęta. Obserwacja trwała od 6 $\frac{1}{4}$ rano do 7 $\frac{3}{4}$ wieczorem. Otóż jaskółka ta w ciągu dnia przylatywała do gniazdka z pokarmem 526 razy (po godz. 6-ej przestała już znosić pokarm). Za każdym razem

miała w dziobku pokarm dla 2—3 piskląt, można więc liczyć, że owego dnia przyniosła do gniazda 1500 owadów, jeśli dodamy do tego owady, które sama zjadła. Okazuje się, że para jaskółek w tym czasie, kiedy karmi młode, łapie dziennie do 3000 owadów.

Marja Markowska:

O srogiej wojnie.

Był pod lasem gazda,
Pieska miał Sobola —
Ej, dobry był piesek,
Do lasu, do pola!

Czy gnać bydło do rzeczki,
Czy nawracać owieczki,
Do domu, do podwórza,
Nie było nadeń stróża.
Ale wszystko na świecie
Ma swój koniec, jak wiecie,
Zestarzał się pies!



Coraz chętniej w cieple
W chałupie lega,
Ociężały nogi,
Wartko nie biega;

Na zwierza, na człowieka
Nierad Soból już szczeka,
Ledwie ozwie się czasem
Schrypniętym, głuchym basem —
Zestarzał się pies!

— E, powiada gazda,
I cóż mi po takim,

Po niedołędzie,
Psie lada jakim!

U mnie on nie popasa,
Wyścigam go do lasa.—
— O to ludzka zapłata,
Żem w służbie sterał lata!—
Idzie we świat pies.

Idzie precz o głodzie,
Krzywda mu, bieda,
Psa nikt nie wspomůže,
Psu nikt nie nie da.

Nałaził się niemało,
Jeść mu strasznie się chciało,
W tym zza krzaków ponury
Ozwie się doń Wilk Bury:
— Acha, jespian kolega!
Cóż to waści dolega?
Czego w lesie chcesz?—

Wyspowiadał ci się
Jakby druhowi,
Westchnęło wilczysko:
— Służ człowiekowi!

A na starość, wiedz o tym,
Z głodu zdechniesz pod płotem.
Że zwyczajnie masz głupie,
Że ci dobrze w chałupie,
Na tę biedę poradzę,
Znów cię w izbie osadzę,
Będiesz gazdy pies.

— Uważaj, gdy pójda
W pole do żniwa,

Dziecko z sobą wezmą,
Tak zawsze bywa—
Złożą je na zagonie,
Ja podkradnę się po nie,
Porwę razem z poduszką
I ucieknę w gąszcz dróżką.
A ty narób hałasu
I goń za mną do lasu,
Niech widzą, żeś chwał!

— Ja dziecko położę
Na mchu w gęstwinie,
A ty weź je, odnieś
Samej gaździnie.
Zaraz będzie odmiana,
Wyjdzie Soból na pana!
Żeś porwane zdradziecko
Uratował im dziecko,
Pokochają psa.

Jak wilk zapowiedział,
Wszystko się stało,
Miał gazda z gaździną
Strachu niemało!
Potym aż się płakali,
Tak pieska przepraszałi.
Oj, dobrze Sobolowi!
Więc do wilka tak powie:
— Jak odpłacić wam, kumie?
Wszak pies wdzięcznym być umie,
A jam przecież pies.—

Wilk mu zaraz rzecze:
— Widzisz, ja cenię
Sobie nadewszystko
Smaczne jedzenie.—
— Z tym kłopotu niewiele,
Jutro u nas wesele,
Brat gaździny się żeni.
Wejdźże chyłkiem do sieni,

Potym zgrabnie się społem
Ukryjemy pod stołem,
Będziem, będziem jeść!—

Wesoło się bawia
Kumy, sąsiedzi,
A Soból z wilczyskiem
Pod stołem siedzi.
Ma po uszy od gości
I mięsiwa i kości,
Ma pierogi i flaki,
Co najlepsze przysmaki,
Każdy chwali czyn jego:
— Chciałbym mieć psa takiego,
To mi pies! to pies!—

Wilkowi do smaku
Setnie przypadło
To weselne tłuste
I pieprzne jadło.
Tak się nażarł nieboże,
Że się ruszyć nie może,
Więc jękliwie z pod stoła
Na Sobola pić woła.
Pies wyszperał co żywo
W dzbanach wódkę i piwo—
Pił na umór wilk!

A ludziska także
Już w czubie mają,
Pokrzykują wszyscy,
Wszyscy śpiewają.
Wilk pijany się gniewa,
Że on piękniej zaśpiewa.
A pies łap go za poły:
— Nie bądź taki wesoły!
Siedźże, wilku, siedź cicho,
A wtym zawył wilk!

P. Lazarusówna:

Chata w słońcu.

I.

PRZED WAKACJAMI.

Od kilku dni Julek, Antek, Wiluś, Irenka i wszystkie dzieci, mieszkające w tym samym co i one zaułku, nie mówiły o niczym innym, tylko o „chacie w słońcu!“

Właściwie z tych dwu wyrazów: „chata w słońcu“ dzieci rozumiały tylko wyraz drugi. Znały słońce, które złotą smugą wkładało się do mieszkań suterynowych, osuszało wilgotne mury, opromieniało ich główki, cisnące się do małych okien o połączonych szybach.

Ale co to jest chata?

Dzieci nasze mieszkają w dużym, ludnym mieście i znają tylko olbrzymie kilkopiętrowe domy, pełne obcych nieznanych ludzi.

W tym roku małych mieszkańców suteryn ma spotkać wielkie szczęście! Julek, Antek, Wiluś, Irenka i jeszcze czternaścioro dzieci pojedą pierwszy raz w życiu na wieś, na wakacje i zamieszkają tam „w chacie w słońcu!“ Antek, Julek i Zuzia tak się cieszą, że im się aż we śnie ta chata marzy. Zuzi się śniło, że chata to takie czółno, na którym jest piec piekarski i olbrzymia drabina. Julek kazał jej wejść na tę drabinę, bardzo, bardzo wysoko i spojrzeć w dół. Zuzia weszła aż pod same chmury, a gdy spojrzała w dół, przekonała się, że świat jest śliczny. Wiluś nietylko ciekaw chaty, ile tej „kolei!“ Prawdziwą koleją nie jechał jeszcze nigdy,

tylko taką, którą sobie sam sporządził z krzeseł, pak i stołków, ale to się przecie nie liczy.

Wiluś tak bardzo pragnął jechać koleją, że jeszcze przed rokiem, gdy był mały, postanowił sobie, że jak tylko dorośnie, to zostanie maszynistą. Jakże więc teraz, kiedy już się prawie za dorosłego uważa, musi się cieszyć nadzieją tej jazdy!

Wakacje te zawdzięczają dzieci Antosiowi, który był chory na nóżkę i doktor kazał mu leżeć w słońcu. A gdy mamusia i tatuś Antosia sprowadzili lekarza, ten obejrzał nietylko pacjenta, ale i wszystkie dzieci, mieszkające w tych suterynach, i nagle zaczęło mówić o jakiejś kolonji. Znalazła się zaraz chata niezamieszkała i pani, która pojedzie z dziećmi. Ta pani nazywa się panna Wila i już teraz siedzi całymi dniami u przyszłych kolonistów, bo chce się z nimi poznać jeszcze przed wyjazdem.

Panna Wila umie robić papierowe helmy i bawić się w różne ładne zabawy, a nawet i w wojsko.

— Czy pani już kiedy w życiu widziała chatę? — pytają ciekawie dzieci.

— O tak, widziałam, a nawet mieszkalam w chacie.

Ośmnaścioro dzieci usiłuje wleźć na jej kolana, bo wszystkie chcą się czegoś dowiedzieć.

— Czy przed chatą jest podwórze — pyta Antek — i czy na tym podwórzu stoi paka na śmiecie?

— A ile było piatr w tej chacie, w której pani mieszkała?

Ale o dziwo! chata wcale piątr nie ma, ma tylko parter!

A suteryny?

Nie ma i suteryn!

Ta ostatnia wiadomość wywołała burzę oklasków! Wesóły szczebiot dzieci, wesóły okrzyk: „tam niema suteryn“, przefrunął przez wszystkie suterynowe, wilgotne mieszkania olbrzymiego domu. Kolonja nasza mieszkać będzie, jak wielcy państwo, na parterze i zajmować całą chatę, zupełnie jak ten hrabia w Alejach, co to cały pałac zamieszkuje. Jakież to ogromne szczęście!

W chwili największego zaciekawienia dostał się do rąk dzieci mały widoczek, przedstawiający chatę.

— To tak wygląda chata?—rzekła zdziwiona Jania—ja przecie znam takie małe domki, stojące za rogatkami tylko nie wiedziałam, jak się nazywają.

Widoczek szedł z rąk do rąk i budził ogólny zachwyt.

— Jedźmy już, jedźmy — prosiły dzieci.

Żeby przyspieszyć wyjazd, każde z nich zaczyna pakować tłómaczek podróżny, choć wiedzą dobrze, że trzeba

go będzie jeszcze rozpakować. Pakują więc tylko dla wprawy i dla własnej przyjemności. Wśród tych przygotowań najmłodsza Irusia nauczyła się rachować do pięciu, bo za pięć dni mają jechać.

Tłómoki, pakowane rano, a rozpakowywane wieczorem, leżały we dnie w przedziale III-ciej klasy, a nocą, w części przynajmniej, służyły za okrycie. Ma się rozumieć, że ta III-cia klasa, która je na dzień przygarniała, nie była trzecią klasą tej rzeczywistej kolei, na której Wiluś będzie kiedyś maszynistą. To była taka trzecia klasa naniiby, zestawiona z kilku paczek oraz ze złamanego stołka. Dobra to była kolej, choć stale przepełniona! Unosiła ona dzieci w daleki, daleki świat, czasem do Chin, czasem do Japonji, a miała tę zaletę, że umiała przeistoczyć się nagle w elektryczną, bądź motorową i mogła nawet przepłynąć morze!

Wiluś zawsze był przy maszynie, Antoś syczał, Andzia przedziurawiała bilety, a cudowna ta kolej wiozła swych pasażerów zawsze tam, dokąd biegły ich myśli i pragnienia.

